GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1938 R.

Nr. 1 ROK VIII

472

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NAROWODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 1

1938 R.

1 — I

KROK NAPRZÓD

Gdyby Gospodarka Narodowa nie przechodziła pewnej ewolucji, byłaby pismem martwym. Gdyby ta ewolucja doprowadzić miała do zaprzeczenia kilku podstawowym założeniom, które są trzonem, jednoczącym mimo wszelkie różnice, współpracowników naszego pisma, Gospodarka Narodowa straciłaby rację bytu. W latach poprzednich próbowaliśmy założenia te charakteryzować i jednocześnie wskazywać na czem w naszym mniemaniu polega istota przebytego przez nas etapu rozwojowego pisma. Kontynuując ten doroczny zwyczaj, pragniemy również w odniesieniu do roku 1937 uwypuklić to, co uważamy za najbardziej charakterystyczne.

Ewolucja Gospodarki Narodowej jest w części wynikiem przyczyn specjalnych, zjawisk, zachodzących w środowisku naszych współpracowników, w części zaś odblaskiem, przejawem pewnych szerszych procesów, obejmujących całą myśl polityczno-gospodarczą Polski. Oglądając się wstecz, widzimy wielką zbieżność tego, co obserwujemy na łamach naszego pisma, z procesami, zachodzącymi w całej publicystyce gospodarczej Polski.

Rok 1937 — to rok poprawy koniunkturalnej. A jednocześnie to drugi już rok kursu polityczno-gospodarczego, zainaugurowanego na przełomie 1935/36. W tych dwóch faktach widzimy punkt wyjścia dla scharakteryzowania przemian, jakie nastąpiły w całej publicystyce polskiej, a w tym rzędzie i w Gospodarce Narodowej. Wyszliśmy z okresu dyskusji na temat właściwej drogi polityki prowadzącej do wywołania poprawy koniunkturalnej. Dewaluacja, czy reglamentacja dewiz. Nakręcanie koniunktury, czy deflacja. Dylematy, które przez szereg lat stawały przed każdym publicystą gospodarczym, pragnącym wyjść poza czysto odcinkowe rozważania, straciły na aktualności i to podwójnie. Raz ze względu na fazę koniunkturalną, dwa ze względu na to, że w szeregu podstawowych zagadnień celowość dyskutowania znikła z chwilą powzięcia przez Rząd określonej decyzji. Podkreślamy to z dużym naciskiem, że w naszym przekonaniu źródłem postawienia poza obrębem dyskusji całego szeregu problemów są nie tylko przemiany w sytuacji gospodarczej, lecz również fakt ustalenia się linii Rządu. W gruncie rzeczy, w niejednym problemie gospodarczym kryteria dla wyboru kierunku działania są na tyle względne, że z chwilą ustalenia się pewnej linii polityki, z chwilą powzięcia konkretnych decyzyj i stworzenia faktów polityk gospodarczy, który był jej poprzednio przeciwny, ma prawo bez popadania w oportunizm zsolidaryzować się z obraną linią i zastanawiać się już nie nad wyborem kierunku, lecz nad wyborem środków najlepszego zrealizowania danej linii politycznej. W gruncie rzeczy jest to normalna reakcja ludzi, którzy wolą działać i tworzyć, niż tylko krytykować.

Wspomniane wyżej czynniki odciążyły nas od dyskusji na temat polityki koniunkturalnej. Nie na długo. Sądzimy bowiem, i pod tym względem należymy do pism, które najwcześniej usiłują skierować uwagę w danym kierunku, — że bez względu na bli-

skość nowego kryzysu czas jest z całym spokojem myśleć o przygotowaniu się do kryzysu, czas w dobie poprawy przygotowywać się na gorszą fazę gospodarczą. Pod tym względem odbiegamy zapewne od tonu, dominującego na ogół w polskiej publicystyce gospodarczej. Znikła natomiast różnica, dawniej dość wyraźna, a polegająca na szczególniejszym akcentowaniu przez nasze pismo problemów długofalowych, strukturalnych. Poprawa koniunktury stała się dla wielu ludzi w Polsce źródłem głębokiego rozczarowania. Przekonano się, że nasz niepomyślny stan gospodarczy nie zamienia się na stan pomyślności drogą automatycznych procesów cyklicznych. Świadomość, że źródła zła leżą głębiej, i że zadawalniających nas wyników oczekiwać można tylko w dłuższym dystansie czasu i w rezultacie dłuższych konsekwentnych wysiłków stała się powszechna. Nie przypisujemy sobie jakiejś szczególniejszej zasługi w tym procesie myślowym. Faktem jest jednak, że czasopismo nasze najdawniej bodaj usiłowało zwrócić uwagę ogółu, nadmiernie skupioną na zagadnieniach koniunkturalnych, ku zagadnieniom strukturalnym, i że ten proces, o którym mowa wyżej, uważamy za szczególnie ważny fragment dojrzewania polskiej myśli gospodarczej. Jeśli w tym kierunku przypada nam najmniejszy nawet udział, to jest to ta pozycja w naszej pracy, którą szczególnie sobie cenimy.

Użyliśmy wyżej wyrażenia „dojrzewania polskiej myśli gospodarczej". Proces ten w naszym przekonaniu zaawansował się dość znacznie w okresie minionego roku. Postępy tego procesu można by mierzyć — zapewne niezbyt precyzyjnie — tem, jaka ilość zagadnień zatraca charakter dyskusyjny, staje się truizmami, powszechnie uznanymi. Oczywiście nie jest to jeszcze wszystko. Od powszechnego uznania czegoś za słuszne do działania w danym kierunku upływa często więcej czasu niż jeden rok. Z pewnością jednak poza wypadkami dorywczych wysiłków, wynikających z inicjatywy jednostek czy grup, trwałe działania wyrastają jedynie na podkładzie ugruntowania się w świadomości powszechnej pewnych prawd — truizmów. Dlatego też przywiązujemy taką wagę do narastania świadomości powszechnej, jednoznacznej oceny pewnych podstawowych elementów polskiej rzeczywistości gospodarczej, do stawiania poza obrębem dyskusji pewnych podstawowych wytycznych polityki gospodarczej. Proces ten, to przecież nic innego jak uświadamianie sobie, na czem polega polska gospodarcza racja stanu. Nie zamierzamy silić się o scharakteryzowanie, jak dalece poszliśmy w kierunku wykrystalizowania tej racji stanu jako społeczeństwo, i jaka cząstka tej pracy przypadła Gospodarce Narodowej. Pewne jest jednak to, że na owej drodze rok 1937 nie był rokiem cofania się, lecz rokiem marszu naprzód.

ANTONI WIĄZ

ZASADNICZE NIEPOROZUMIENIE

Ewolucja stosunków gospodarczych w skali międzynarodowej zmierza do powstania światowej gospodarki kierowanej, opartej na równych prawach uczestników.

Słuchając tego wszystkiego, co się ostatnio i mówi i pisze na temat zasadniczego kierunku polityki gospodarczej naszego kraju, nie możemy oprzeć się zdumiewającemu na pozór wrażeniu, że w tych tak zasadniczych zagadnieniach, w zagadnieniach, którymi interesuje się cała myśląca Polska i o których dyskutuje się nieomal na każdej płaszczyźnie naszego życia codziennego, panuje przecież jakieś zasadnicze — tak zasadnicze jak i same zagadnienia — nieporozumienie. Wydaje się, że mimo codziennych, nieustannych dyskusji i sporów, polemik, artykułów, broszur i książek, przemówień, odczytów, pochwał, potępień, opozycji, protestów — słowem tego wszystkiego, w co obfitują t. zw. przejawy zewnętrzne „opinii publicznej" — każdy w tym „życiu rodzinnym" mówi nieco „o czem innym", jak to swego czasu tak słusznie zaznaczył genialny satyryk. Mamy na myśli odwieczny — tak odwieczny, że aż trudno po prostu raz jeszcze poruszać go na łamach naszego pisma, problem „liberalizmu" i „etatyzmu", oczywiście ze wszystkimi stopniami pośrednimi pomiędzy temi skrajnościami w rodzaju bardziej lub mniej „umiarkowanego" interwencjonizmu.

O tem, że nieporozumienie to panuje, dowodzi bodajże najjaskrawiej stanowisko, jakie w tym zasadniczym zagadnieniu zajęły poszczególne stronnictwa polityczne z chwilą, kiedy ożywienie ich działalności zmusiło je do zainteresowania się nim niejako czynnie. Niedawno wyczytaliśmy w komentarzu jednego z pism do polemiki, jaka wywiązała się między nim a organem, bodajże socjalistycznym, złośliwą uwagę, iż w najbliższym czasie na okopach liberalizmu ujrzymy w Polsce socjalistów, Lewiatana i konserwatystów zjednoczonych razem we wspólnej akcji przeciwko „totalizmom". Komentator zresztą przesadził bardzo nieznacznie. Istotnie, o ile orientować się z dotychczasowej dyskusji, zagadnienie „pro czy contra liberalizm" grupuje blok ideowy nie-

słychanie heterogeniczny. Nie jest to zresztą — przyznać należy — wypadek czysto polski. We Francji (gdzie zresztą nowe pojęcia gospodarcze niesłychanie trudno znajdują posłuch wśród mas na skutek przysłowiowego ich konserwatyzmu myślowego) znana była swego czasu kontrwersja co do zasadniczego kierunku zagranicznej polityki gospodarczej rządu Bluma, który wbrew oczywistemu (wówczas...) interesowi gospodarstwa francuskiego i wbrew wszelkim regułom logiki gospodarczej uparł się prowadzić w stosunku do zagranicy politykę całkowicie liberalną prowadząc jednocześnie na wewnątrz politykę wyraźnie interwencjonistyczną — jeśli nawet nie określilibyśmy jej bardziej wyraźnym mianem — tylko dlatego, że uznał wprowadzenie ograniczeń dewizowych za hołdowanie polityce gospodarczej... państw „faszystowskich". I nikt nie może zaprzeczyć, że, jeśli dziś jeszcze Francja wikła się w niesłychanie trudnych (mimo przejściowego uspokojenia walutowego) trudnościach gospodarczych, to główną tego przyczyną było pomieszanie pojęć politycznych i społeczno - gospodarczych, czego wynikiem był w rezultacie paradoks prowadzenia dwóch wzajemnie sprzecznych polityk ekonomicznych — jednej na wewnątrz a drugiej na zewnątrz.

Przykład francuski może nas pocieszać o tyle, że i w krajach o wiele bardziej rozwiniętych od nas gospodarczo zdarzają się przecież w chwilach przełomowych tego rodzaju wątpliwości doktrynalne, jakich my właśnie jesteśmy świadkami u siebie. Nie powinien on jednak zamykać nam oczu na fakt, iż wątpliwości te u nas są i bardziej trudne do wyplenienia i bardziej skomplikowane — po prostu dlatego, że polska rzeczywistość gospodarcza nasuwa przecież obecnie i będzie nasuwała jeszcze przez bardzo długie lata o wiele więcej zasadniczych problemów do rozwiązania niż takaż rzeczywistość francuska. Albowiem, jeśli chodzi o dwie *podstawowe* płaszczyzny, na których tworzy się każda doktryna gospodarstwa narodowego, Francja ma w gruncie rzeczy do rozwiązania w tej chwili kompleks zagadnień na *jednej tylko* z nich — a mianowicie na płaszczyźnie zmiany podziału dochodu społecznego *wewnątrz* kraju. My zaś w szukaniu właściwej drogi dla naszych poczynań musimy rozwiązywać jednocześnie zagadnienia na obu płaszczyznach: stosunków wewnętrznych i stosunków zagranicznych. Tego drugiego kompleksu bogata Francja, która od dawna znalazła i mocno trzyma nadal swe miejsce wśród arystokracji narodów świata, nie posiada.

*

* *

Gdybyśmy chcieli ująć w krótkiej syntezie esencję enuncjacji doktrynalnych, jaką słyszymy od dawna z tych kół, które w Polsce skłaniają się do liberalistycznej koncepcji w naszej polityce gospodarczej, zarysowałby się nam następujący schemat rozumowania:

Polska musi dogonić rozwój kapitalistyczny Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych dokonany przez te kraje przed wojną światową — i częściowo jeszcze po niej. Dwoma zasadniczymi elementami w tym dążeniu muszą być:

a) szybka kapitalizacja wewnętrzna obracana przez prywatną inicjatywę na coraz to większe procesy wytwórcze;

b) współpraca z kapitałem zagranicznym, który powolny mimo wszystko proces kapitalizacji wewnętrznej częściowo zastąpi, częściowo zaś przyśpieszy i ożywi;

c) interwencja państwowa ograniczona wyłącznie do dziedzin, których cele są w zasadzie poza-gospodarcze i posiadające znaczenie ogólno-państwowe (obrona kraju itp.).

Nie potrzebujemy dodawać, iż w tego rodzaju streszczeniu doktryny z konieczności upraszczamy tezy do maximum. Jednakże już na podstawie tych najogólniejszych tez rozumowanie dalsze brzmieć by powinno w sposób mniej więcej następujący:

— Szybka kapitalizacja wewnętrzna, a więc niskie obciążenie podatkowe, możliwie mały budżet, zaprzestanie wszelkiej akcji kredytowej rządu na rynku wewnętrznym, ograniczenie do minimum obciążeń produkcji (społecznych i innych), niska stopa procentowa, minimum reglamentacji wewnętrznej we wszelkich dziedzinach produkcji i obrotu itd. itd.

— Współpraca z kapitałem zagranicznym, a więc zniesienie ograniczeń dewizowych, dewaluacja, „dla wyrównania poziomu cen z poziomem światowym", przywileje i ulgi dla kapitału, przychodzącego z zagranicy, stosunkowo niższy poziom ceł, pełna klauzula największego uprzywilejowania we wszystkich dziedzinach obrotu z zagranicą itd. itd.

— Interwencja państwa ograniczona do minimum, a więc — i w stosunku do jednostki gospodarującej (obciążenia, o których wspomniano powyżej) i w stosunku do zmian strukturalnych w gospodarstwie narodowym (inwestycje wyłącznie o rentowności bezpośredniej) itd. itd. itd.

Umyślnie szkicujemy obraz ten jak najpobieżniej, aby od razu przejść do sedna rzeczy. Rozumiemy, iż tego rodzaju rozumowania *można bronić.* Rozumiemy, iż jest to punkt widzenia, od którego można zaczynać budowanie polityki gospodarczej państwa. Nie możemy zrozumieć tylko jednego: w jaki sposób na tego rodzaju politykę (oczywiście — nie na tego rodzaju, ale na politykę, która, będąc konsekwentna, *musiałaby* być właśnie taka...) mogą pisać się te grupy społeczne, których bezpośredni interes życiowy wymaga właśnie polityki *zgoła odmiennej?* Czy tylko dlatego, że właśnie taka polityka popierana jest w chwili obecnej przez „demokracje" zachodnio - europejskie w ich walce z „totalizmami"?...

Odpowiedzą nam: nie — chcemy liberalizmu umiarkowanego, chcemy interwencji umiarkowanej, pragniemy, aby przy minimum ingerencji politycznej państwa do życia jednostki mogła rozwijać się odpowiednio silna ingerencja państwa w życie gospodarcze w celu sprawiedliwszego podziału docho-

du społecznego i aby ponadto wizerunek polityczno-gospodarczy kraju odpowiadał tym ideałom, jakie przyświecały właśnie polityce gospodarczo - społecznej krajów zachodnio-europejskich w okresie przedwojennym i nawet obecnie...

Pierwsza sprzeczność. Albowiem jasnym jest, iż w warunkach, w jakich znajduje się gospodarstwo polskie, tego rodzaju ideał jest całkowicie niemożliwy: Nikt inny — tylko właśnie „totalizmy" mogą mieć możność przeprowadzenia *w krajach ubogich* sprawiedliwszego podziału dochodu społecznego, albowiem tego rodzaju akcja musi odbywać się *przymusowo* w warunkach objektywnie niesłychanie trudnych (przy braku kapitału „do dzielenia", przy organicznie słabszej odporności wobec potęg gospodarczych z zagranicy i — wobec tego — przy konieczności postawienia sobie właśnie ideału nie klasowego ale powszechnie - narodowego: interesu państwa, który wyprzedza interes jednostki czy klasy...).

Nie chcemy zatrzymywać się nad sprzecznościami pomniejszemi. Nie możemy jednak zrozumieć, w jaki sposób grupy radykalno - nacjonalistyczne wyobrażają sobie w swych programach walkę z kapitałem żydowskim przy jednoczesnej pełnej ochronie inicjatywy prywatnej w gospodarstwie. Ktoś przecież musi mieć odpowiednią siłę, aby kapitał ten (niewątpliwie w Polsce stosunkowo bardzo silny...) „zwalczyć". I jasne jest, iż nikt tego nie może uczynić poza polityką gospodarczą samego Państwa.

*

* *

Podkreśliliśmy chwilowo jedną grupę sprzeczności, którą nazwalibyśmy „wewnętrzną". Powtarzamy ciągle, że upraszczamy bieg owych skomplikowanych niesłychanie dróg myślowych do maximum, sądzimy jednak, iż punkty zasadnicze nie ulegają przez to przeinaczeniu. Powiedzieliśmy powyżej, iż programu o tendencjach liberalistycznych można w zasadzie bronić. Posiada on bezsprzecznie — przede wszystkim dla grup, które wyciągnęłyby zeń największe korzyści (ale i — teoretycznie — dla całości gospodarstwa narodowego) — szereg elementów dodatnich. Postaramy się jednak wykazać, że i tutaj pomiędzy teorią i praktyką zachodzi u większości zwolenników tej doktryny zasadnicze nieporozumienie.

Nie mówimy tutaj o sprzecznościach najbardziej jaskrawych, a nie stanowiących właściwie nieporozumienia, gdyż wynikających po prostu z dwulicowego stanowiska niektórych obrońców doktryn liberalnych w teorii, wymagających jednocześnie w praktyce wszelkiego rodzaju poparcia właśnie ze strony interwencjonizmu państwowego — bądź w formie stworzenia dla ich poczynań tego czy innego rodzaju stanowiska monopolistycznego, bądź wysokiej ochrony celnej, bądź wyeliminowania konkurencji zagranicznej, bądź ochrony umów kartelowych itd. itd. Chodzi nam w tej chwili o tych, którzy uczciwie i w najgłębszym swym przekonaniu hołdują wspomnianej doktrynie, uważając, iż tylko na tej drodze może nastąpić właściwy rozwój gospodarstwa Rzeczypospolitej. Powiedzieliśmy już powyżej, iż teza taka daje się udowodnić w teorii. Przekonywać jej zwolenników o niewykonalności jej w praktyce bynajmniej na tym miejscu nie zamierzamy. Pragniemy tylko podkreślić niektóre, naszym zdaniem, kapitalne niedopowiedzenia, prowadzące do całkowitego nieporozumienia co do sedna zagadnienia.

Zwolennicy doktryn liberalnych mówią, mniej więcej, w ten sposób: oczywiście w okresie obecnych zaburzeń w równowadze gospodarczej świata trudno Polsce prowadzić politykę prawdziwie liberalną. Ale obecne zaburzenia są przejściowe i po nich nastąpi nawrót do pełnego (lub, jak niektórzy bardziej umiarkowani twierdzą, prawie pełnego...) działania automatyzmu procesów gospodarczych, który Polskę wydźwignie gospodarczo w górę tak, jak dźwigał w okresie XIX-ego wieku inne państwa świata.

Odłóżmy chwilowo na bok sprawę, czy nadzieje te są ziszczalne. Zastanówmy się nad istotą zagadnienia: czy nawrót do pełnego liberalizmu w stosunkach międzynarodowych byłby w sumie dla Polski korzystny? Powiadamy: w sumie, gdyż oczywiste jest, iż przyniósłby on niezaprzeczalne korzyści odcinkowe. Niemniej jednak obejmując całość zagadnienia, musimy odpowiedzieć przecząco.

Musimy odpowiedzieć przecząco, bo powolny i normalny „awans" gospodarczy Polski w warunkach pełnego liberalizmu nie może rozwiązać tej kapitalnej sprzeczności, jaka od powstania Państwa istnieje pomiędzy jego obowiązkami politycznymi i możliwościami gospodarczemi. O tem, że Polska w jej warunkach terytorialnych musi być państwem potężnym, uczą w szkołach początkowych, ale o tem, że jej potencjał gospodarczy pozostaje chwilowo w jaskrawej sprzeczności z tym postulatem, wielu po prostu nie chce wiedzieć. Albowiem z owej sprzeczności kapitalnej wypływają od razu dwa następujące wnioski:

a) statycznie — pełny liberalizm w polityce gospodarczej Polski na tle powszechnego liberalizmu światowego (zakładamy przecież tę możliwość...) musi działać przez samą swą istotę („laisser faire — laisser aller") na korzyść krajów silniejszych gospodarczo w status quo — a więc w chwili zliberalizowania gospodarstwa światowego;

b) dynamicznie — gospodarstwo polskie korzystałoby, oczywiście, z dobrodziejstw liberalizmu światowego tak, jak skorzystały z nich swego czasu i inne kraje, ale właśnie owe procesy „dźwigania wzwyż" musiałyby być o wiele *dłuższe* w okresie pełnego działania automatyzmu procesów gospodarczych niż te, które odbywałyby się pod jakąś osłoną interwencjonistyczną. Ponadto — rzecz najzupełniej jasna — pełny liberalizm gospodarczy musiałby postawić nasze ośrodki dyspozycji gospodarczej w zależności od potężniejszych od nich analogicznych ośrodków międzynarodowych, co — nie przesadzając nawet ich charakteru na wzór tych, którzy widzą w nich jakieś „mafię", czyhające na naszą zgubę — jest z punktu widzenia samodzielności ogólnej polityki polskiej zupełnie niedopuszczalne.

*

* *

Ale teraz przechodzimy od teorii do praktyki. Chodziło nam najprzód o wykazanie, iż nawet w wypadku ziszczenia się liberalizmu w gospodarstwie światowym interesy mocarstwowe (tak — tutaj możemy *naprawdę* użyć tego słowa...) Polski byłyby w znacznej mierze z nim sprzeczne. Pocieszmy się. Liberalizm nie wróci. Albowiem — zgoła co innego jest ożywienie obrotów międzynarodowych, o którym tak wiele się mówi i które leży w granicach zupełnego prawdopodobieństwa, a co innego ów liberalizm okresu przedwojennego oparty na międzynarodowym podziale pracy jako na swym głównym fundamencie.

Liberalizm nie wróci dlatego, że odszedł *„strukturalnie”*, że użyjemy tego dziwolągu językowego, a nie koniunkturalnie, jak się niektórym zdaje. Nie wojna zachwiała automatyzmem procesów gospodarczych w skali międzynarodowej, ani tem bardziej nie dokonał tego kryzys. Zgodni jesteśmy całkowicie z opinią tego ekonomisty, który widzi pierwsze znamię upadku liberalizmu w fakcie znanym skądinąd powszechnie, a streszczającym się w tem, iż, kiedy w okresie 1910 — 1914 produkcja Wielkiej Brytanii wykazywała wzrost i płace w przemyśle rosły również, rosło jednocześnie w tym kraju — bezrobocie. Z chwilą bowiem, kiedy w drodze akcji pracowniczej (strejk, wywalczenie podwyżek płac itd.) naruszony został automatyzm procesów gospodarczych w tej najgłębszej jego treści, jaką jest nieskrępowane działanie prawa popytu i podaży, wyrok na liberalizm podpisany został nieodwołalnie.

Że wojna i kryzys spotęgowały i przyśpieszyły znakomicie te tendencje, o tem jako o rzeczy aż nazbyt oczywistej nie warto nawet wspominać. Ale źródła tendencji tych, jak powiadamy, leżą i solidniej i głębiej. Dlatego też liczenie na nawrót liberalizmu w jego formie z ub. stulecia jest — trzeba to sobie raz na zawsze powiedzieć — zupełnym nieporozumieniem. Reglamentacja ogarnia w gruncie rzeczy cały świat: i kraje bogate i ubogie — i stosunki wewnętrzne i międzynarodowe — i kontakty między państwami i pomiędzy państwem oraz jednostką. To nie jest „przejściowe szaleństwo”, jak to sobie niektórzy wyobrażają. To jest po prostu—nowy etap polityki gospodarczej, który w początkach swych i pod szczególnie sprzyjającymi wpływami zewnętrznymi rozwinął swe pędy niewątpliwie niejednokrotnie nazbyt bujnie, ale który *w istocie swej* już pozostanie.

I dlatego przechodzimy teraz do ostatniego i największego, naszym zdaniem, z owych zasadniczych nieporozumień, które wszędzie — ale specjalnie, być może, w Polsce — utrudniają właściwe ujęcie otaczających nas procesów: do mieszania w dyskusjach i polemikach *obecnych wybujałości* interwencjonizmu z ostatecznie utrwalającą się jego istotą. Jeśli nas ktoś zapyta, czy w naszym pojęciu nie zmieni się nigdy ten stan, który został przez kogoś w Genewie określony w ten sposób, że „wierzyciel nie może otrzymać pieniędzy, chociaż dłużnik chce płacić, sprzedawca nie może zbyć towaru, chociaż znajduje nań nabywcę, a turysta nie może pojechać tam, dokąd mu się podoba”, to odpowiemy — oczywiście — iż mamy nadzieję, że bardzo wiele z tych wszystkich przeszkód kiedyś odpadnie. Ale dodamy od razu, że zawsze ich zostanie więcej w krajach ubogich niż w krajach bogatych, albowiem stwierdzone zostało ponad wszelką wątpliwość, iż każde ograniczenie przeprowadzone w kraju, który uchwycił już dawno równowagę gospodarczą i pragnie tylko nielicznymi stosunkowo posunięciami interwencjonistycznymi równowagę tę utrzymać, oddziaływa od razu tak silnie na gospodarstwa krajów o nieskoordynowanej dotychczas jeszcze gospodarce, że dla przeciwdziałania tym skutkom potrzeba od razu w krajach tych całego szeregu takich posunięć. I — co ważniejsza — dodamy jeszcze, że automatyzmu procesów gospodarczych w jego mniej więcej czystej formie nie zobaczymy na świecie już nigdy. O tem, że istnieje on stale, że żyje, że jest „logiczny” i „zrozumiały”, wiemy równie dobrze jak jego obecni zwolennicy i propagatorzy. Daje się on zresztą tu i owdzie poczuć i zobaczyć pod splątaną pokrywą przepisów, zakazów, umów, kompromisów itp. itp. Ale działać w całej pełni mu nie pozwolą nigdy. I to nie tylko w Polsce...

*

* *

Jakżeż więc będzie to wszystko wyglądało — może się ktoś nas zapytać. Jeśli wierzymy, że obecne wybujałości interwencjonizmu znikną, on sam jednak pozostanie trwale, jakżeż sobie wyobrażamy przyszły ustrój gospodarczy świata i Polski? Odpowiadamy: widzimy w przyszłości *porozumienie się interwencjonizmów* w skali międzynarodowej, widzimy — innymi słowy — „kierowaną gospodarkę światową”. Kierowaną dlatego, że ułożone zostaną w jej zakresie *możliwie liberalnie* stosunki pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami narodowymi, które już na wewnątrz będą kierowane mniej lub więcej interwencjonistycznie w zależności od zadań, jakie stoją przed gospodarstwami tych krajów, i od środków. jakie kraje te posiadają dla wypełnienia tych zadań. Na tej podstawie wypracuje się — bo wypracować się musi — nowy kodeks międzynarodowej współpracy gospodarczej, w której państwa, posiadające nadmiar środków, będą mogły z pełnym spokojem przekazywać je w celach zysku tym, które odczuwają ich niedobór, ale które użyją ich tam, gdzie same uważają je za najbardziej pożądane. Jak to słusznie zupełnie sformułował ostatnio prof. Jessen z uniwersytetu berlińskiego, mówiąc:

„W ten sposób koncepcja gospodarstwa światowego otrzymuje nowy sens, sens, sięgający bardziej do sedna rzeczy. Gospodarstwo światowe jest odtąd porozumieniem poszczególnych gospodarstw, gospodarstw zorganizowanych i silnych, w którym to porozumieniu żadne gospodarstwo nie żąda dla siebie więcej praw niż tyle, ile samo gotowe jest przyznać”.

Tak, jak ewolucja stosunków społecznych idzie nieuchronnie w kierunku coraz to większego kompromisu pomiędzy dążeniami proletariatu i interesami kapitalisty, przekształcając kapitalizm XIX-go wieku na kapitalizm „kierowany”, tak też ewolucja sto-

sunków gospodarczych w skali międzynarodowej posuwa się coraz to bardziej w kierunku „gospodarstwa światowego opartego na równych prawach jego uczestników”. Dla nas — dla państwa rolniczo - surowcowego, owego „proletariatu” dzisiejszego świata gospodarczego — tego rodzaju ewolucja jest chyba pożądana. I nawet, gdybyśmy uznali w całej pełni, że nieboszczyk Adam Smith miał w wielu wypadkach absolutną rację, to nie widzimy przyczyny, dla której mielibyśmy się martwić, iż rozwój wypadków — nawet „wbrew logice”, jak to się niektórym wydaje — rację tę mu powoli a systematycznie odbiera. Jeśli martwią się tem w Londynie czy Amsterdamie, to możemy to ostatecznie zrozumieć, ale, że rozpaczają nad tem w Warszawie — to chyba jest jakieś zasadnicze nieporozumienie.

JÓZEF POLESZUK

NIEKTÓRE ASPEKTY ZAGADNIENIA PŁAC

Postulat poprawy bytu t. zw. świata pracy, który to termin zwęża się u nas do pracowników najemnych, znajduje wręcz wyjątkową jednomyślność na łamach prasy i w poglądach grupy, uważanej za miarodajną dla wyrażania opinii społeczeństwa i nazywanej mniej lub więcej słusznie „inteligencją”.

Nietrudno wskazać ważkie czynniki jednające temu postulatowi tak powszechne poparcie. Sprawa płac, to przecież walka o podział dochodu społecznego, walka o byt w całej brutalnej nagości. Może nie rozumieć rolnik, że nadmierna protekcja celna uszczupla jego dochód, może nie rozumieć chałupnik i rzemieślnik, że kartelizacja przemysłu przerzuca na nich ciężar kryzysów, ale pracownik najemny nie może nie rozumieć, że zmiany płacy są zmianami jego sytuacji życiowej. Skłonny jest nawet zależność bezpośrednią przejaskrawiać, pomijając ważne zastrzeżenie: caeteris paribus. Jest rzeczą ludzką, że łatwo darzymy sympatią poglądy zgodne z naszym bezpośrednim interesem, poglądy z tym interesem sprzeczne przyjmujemy z największą trudnością. Skoro zaś lwią część polskiej „inteligencji”, stanowiącej zarazem podstawę istnienia prasy, tworzą pracownicy najemni, byłoby bardzo dziwne, gdyby działanie zwyżki płac mogło się nie spotkać z powszechnym aplauzem, niezależnie od tego, czy warunki obiektywne uzasadniałyby słuszność tego żądania. Zgodność głoszonej tezy z interesem jej głosicieli jest naturalna i nie przynosi ujmy ani osobom ani tezie, każe jedynie szukać dla niej innych sprawdzianów, poza jednomyślnością zainteresowanych.

Poniższe rozważanie opieram na założeniu, że najlepszy jest taki poziom i układ płac, przy którym w danych warunkach miejsca i czasu zapewniony będzie najsilniejszy wzrost dochodu społecznego. Odrzucam obiekcję, jakoby takie postawienie sprawy pomijało jej stronę społeczną: powiększenie dochodu społecznego jest przecież w krajach ubogich elementarnym warunkiem poprawy losu mas, natomiast taki układ płac, któryby zmuszał do niepokojów społecznych, byłby nie tylko anty - społeczny, ale zarazem anty-gospodarczy, niepokój bowiem nie sprzyja zdrowemu pomnażaniu dochodu społecznego.

Poziom płac realnych zazwyczaj decyduje o podziale dochodu społecznego na część konsumowaną i zaoszczędzaną. Wprawdzie pewna cząstka zarobków z płac ulega akumulacji, a nawet stanowi u nas główną podstawę oszczędności, a odwrotnie, część zysków i rent ulega spożyciu, jednakże głównym źródłem kapitalizacji pozostają z natury rzeczy zyski i renty, pojemność zaś rynku spożycia zależy od sumy płac. Nadmierne spożycie kosztem akumulacji prowadzi do trudności rozbudowy produkcji, stąd do niedostatku zatrudnienia i ostatecznie spadku albo zastoju ogólnej sumy zarobków. Nadmierna kapitalizacja przy zatrzymanym wzroście spożycia musi wywoływać trudności zbytu, t.zw. kryzysy nadprodukcji. Musi więc istnieć jakiś podział optymalny, przy którym wilk jest syty i koza cała. Im stosunek dawniej nagromadzonego kapitału do ludności jest wyższy, tem wyższy powinien być poziom płac, raz dlatego, by zapewnić posiadanym kapitałom rynek zbytu, powtóre, by zachęcić do powiększenia nakładu czynnika, znajdującego się w minimum, tj. pracy. Odwrotnie w krajach, gdzie czynnikiem hamującym rozwój wytwórczości jest niedostatek kapitału: muszą one zdobywać się na wysiłek zużywania znacznej części dochodu na pomnożenie kapitału, płace zaś muszą mieć niskie, aby jaknajprędzej dostarczyć pracy wszystkim potrzebującym. Rynek zbytu będzie się w tych krajach rozrastał nie przez wzrost płac jednostkowych, ale przez rozwój liczby zatrudnionych. Łatwo zauważyć, że tak właśnie ułożyć się muszą stosunki przy wolnej grze podaży i popytu.

Polska jest krajem o wyjątkowo jaskrawej dysproporcji pomiędzy wartością produktywnych kapitałów i zaludnieniem. To ostatnie wciąż wzrasta, nadając szczególną wagę zagadnieniu *tempa* rozwoju gospodarczego. Powody natury wyższej zmuszają nas do zużywania sporej części dochodów na cele poza - gospodarcze. Tem większą część reszty dochodu musimy kapitalizować. Stąd niski poziom płac jest i będzie dla nas smutną koniecznością tak długo, jak długo istnieć będzie wspomniana dysproporcja. Dopiero w miarę jej zaniku mogą i powinny wzrastać płace realne. Dopóki jest tak jaskrawa, nawet wzrost wydajności pracy, wynikający z postępu technicznego, powinien być obracany w przeważnej mierze na powiększenie kapitału i na obniżenie cen, a więc na powiększenie zatrudnienia, a w małej tylko części na zwyżkę płac.

W latach 1927 i 1928 ogólny poziom płac realnych w Polsce był dostosowany do naszej obiektywnej rzeczywistości, co poważnie ułatwiało ówczesny silny rozwój produkcji, pozwalający na wzrost zatrudnienia. Już w r. 1929 zarysował się wyraźnie kryzys w rolnictwie i w wielu gałęziach przemysłu, a płace nominalne i realne robotników przemysłowych wzrosły. W 1930 r. płace nominalne zostają prawie bez zmian, realne dalej rosną, wskutek spadku kosztów utrzymania. Z 12 krajów, wymienionych przez Mały Rocznik Statystyczny (1937 r., str. 257), jedna tylko Francja miała w 1930 r. wyższy od naszego wskaźnik płac nominalnych. W następnych latach płace nominalne spadają, znacznie wolniej jednak od spadku cen towarów i od kosztów utrzymania. To też wskaźnik płac realnych wzrasta z roku na rok, osiągając dla robotników przemysłowych w 1936 r. 132,1 przy podstawie 1928 r. = 100. Dopiero od jesieni 1936 r. obserwujemy powolny spadek, wywołany przez wzrost kosztów utrzymania. Ostatnie ogłoszone dane odnoszą się do sierpnia r. b., wskaźnik wyniósł w tym miesiącu dla robotników 124,8, dla urzędników państwowych 102,9, dla niższych funkcjonariuszy 112,0. Wynika stąd wyraźnie, że usztywnienie płac nominalnych w dobie kryzysu dało stale zatrudnionym i zorganizowanym pracownikom, zwłaszcza fizycznym, sytuację wybitnie uprzywilejowaną, kontrastującą z potęgującym się pogorszeniem losu innych grup, sytuację zupełnie podobną do tej, którą uzyskały kartele wśród niezorganizowanych producentów. Organizacja nie może jednak zmienić prawa podaży i popytu, to też wysokie ceny i wysokie płace grup zorganizowanych wywołać musiały tem głębszy spadek popytu na towary i na pracę. To też wskaźnik sumy zarobków robotniczych w wielkim i średnim przemyśle spada w 1933 r. do 44, a wskaźnik realny do 62. Usztywnienie płac okazało się bezsilne dla uratowania dochodów ogółu robotników: uprzywilejowując jednych, tem głębiej zepchnęło pozostałych.

Operując wskaźnikiem płac i zarobków realnych narażamy się na nieścisłość, wynikającą z niepewności obliczeń zmian kosztów utrzymania. Biorąc wszakże pod uwagę, że przyjęty za podstawę obliczeń standartowy budżet rodziny robotniczej jest budżetem wyższym od przeciętnego, a zatem żywność ma w nim udział mniejszy od przeciętnego, a ceny żywności są w porównaniu z 1928 r. niższe niż ceny towarów przemysłowych, dojdziemy do wniosku, że idealna korekta podniosłaby raczej niż obniżyła dzisiejsze wskaźniki płac realnych.

Czy poziom płac rzeczywiście wpływa na rentowność produkcji i jej rozmiary, skoro wydatki na robociznę stanowią w większości przemysłów kilkanaście, w niektórych kilka procentów kosztów własnych? Doprawdy, czas by już skończyć ze stawianiem tego popularnego zarzutu, polegającego na prześlepieniu faktu, że w prawie wszystkich pozostałych pozycjach tkwi również koszt pracy, potrzebnej na wydobycie surowca, wcześniejsze stadia obróbki, transport, wyrób maszyn i narzędzi, postawienie budynków fabrycznych, sprzedaż, manipulacje w instytucjach kredytowych itd. Każdą cenę można rozłożyć, po potrąceniu udziału netto zagranicy, na sumę płac i sumę rent i zysków. Ta ostatnia jest z nielicznymi wyjątkami znacznie mniejsza od sumy płac. Można więc bez wielkiej przesady stwierdzić, że płace decydują o koszcie własnym towaru. Dzisiejsza mała konkurencyjność naszego towaru ma główne źródło — obok ciężaru rent kartelowych i ograniczeń przywozu oraz obciążeń społecznych — w podniesieniu płac realnych podczas kryzysu. Jeżeli przy dalszych zwyżkach cen i kosztów utrzymania będziemy skrzętnie podnosili płace, przy zniżkach nie pozwolimy ich z równą elastycznością obniżać, zdarzyć się może, że prześcigniemy inne narody równocześnie w poziomie cen, płac jednostkowych, liczbie bezrobotnych i szczupłości globalnej sumy zarobków.

Zachowanie zasady: niska płaca przeciętna, wysoka suma zarobków, jest równie uzasadnione i równie trudne wobec zwartych związków zawodowych, jak uzasadnione i trudne jest realizowanie zasady: niska cena, duży utarg — w zorganizowanym przemyśle. Związki zawodowe przejawiają wprawdzie więcej dobrej woli, mniej uporu i lepsze zrozumienie ogólnej sytuacji niż kierownicy karteli, jednakże nie mogą one pod grozą utraty wpływów zapominać, że reprezentują jedną stronę. Praktycznie, regulatorem płac w przemysłach zorganizowanych jest najczęściej Państwo. Byłoby dobrze, gdyby poczuwająca się do odpowiedzialności za kształtowanie opinii prasa ułatwiała, zamiast utrudniać, to niełatwe zadanie.

Niemniej ważne od ogólnego poziomu płac jest zagadnienie ich układu. Spróbujmy modną tezę o rzekomo niezdrowej rozpiętości płac, krzywdzącej rzesze najniżej uposażonych na rzecz uprzywilejowanych, rzucić na tło naszej rzeczywistości ludnościowej i gospodarczej.

Dzięki anormalnej ewolucji historycznej przeludniona jest w Polsce wieś i niefachowe grupy zarobkowe w miastach. Nadmiar fachowców mamy, pomijając bezrobocie koniunkturalne, w nielicznych gałęziach produkcji, które utraciły, chwilowo lub na stałe, warunki rozwoju. Ponadto pewną liczbę niepotrzebnych fachowców produkują wyższe uczelnie dzięki wadliwej strukturze wydziałów. Regułą jest jednak brak fachowców, brak zwłaszcza wybitnych specjalistów, niedostatek przedsiębiorczych kierowników. Dopiero od lat paru usiłujemy temu częściowo zaradzić przez rozbudowę szkolnictwa zawodowego, ostatnio słyszy się o wysiłkach dla kształcenia fachowych robotników, ale wiele jeszcze wody upłynie, zanim może być wessany cały nadmiar rąk i głów zdatnych do wszystkiego w równej mierze, a więc do tych zajęć pomocniczych, które już naprawdę są przepełnione. W tych warunkach specjalista, napotykając dostateczny popyt na swe zdolności, pójdzie tam, gdzie mu dadzą dobre wynagrodzenie. Kto chce z jego usług korzystać musi zapłacić. Kto chce płacić tanio, musi zrezygnować z usług jednostek wybitniejszych, chociaż te usługi zapłaciłyby większy wydatek na uposażenie. Gdy natomiast chodzi o wykonawców bez specjalności — nadmiar kandydatów na każde wolne miejsce pozwala wybierać i to przy minimalnych płacach. Tam ofiarowanie wysokiej płacy stawało się dobrym interesem, tu in-

teres pozwala na płace najniższe, a regulatorem jest umowa zbiorowa lub władza publiczna. Nie potrzeba dowodzić, że położenie dużej, może przeważnej części tej niewykwalifikowanej i skąpo uposażonej rzeszy jest tragiczne. Jest ono jednak lepsze od położenia tych, dla których i ta źle wynagradzana praca jest marzeniem. Wobec zaś olbrzymiej przewagi liczebnej pracowników bez specjalnych kwalifikacyj, ich płace decydują o ogólnym poziomie płac, tu więc ma pełne zastosowanie całe wyżej przytoczone rozumowanie, dotyczące tego poziomu. Zmniejszenie rozpiętości płac w drodze podniesienia płac najniższych równa się podniesieniu płac w ogóle. Obniżenie zaś płac wyższych może w nieznacznym tylko stopniu obniżyć koszty, ale zato grozi o wiele większemi szkodami wskutek utrudnienia pozyskania odpowiednich jednostek. W zakresie pracowników fizycznych prawda ta jest coraz lepiej rozumiana i alarmy opinii odnoszą się przede wszystkim do urzędników państwowych. Można się zgodzić, że Państwo nie może konkurować w płacach z potężnymi przedsiębiorstwami prywatnymi, że wysokie stanowiska państwowe dają zadowolenie służby publicznej itd., jednak fakt, że wielu zdolnych ludzi traktuje urząd państwowy jako etap pośredni dla przejścia do przedsiębiorstw publicznych lub prywatnych świadczy, że dalsze powiększenie kontrastu byłoby ryzykowne. Wątpię, by ktoś poważnie zaliczał do uprzywilejowanych, którym trzeba płace obniżyć, urzędnika VI grupy uposażeń, pobierającego w Warszawie 515 zł brutto, a niespełna 450 zł netto. Etatów wyższych grup uposażeń, od I do V jest w administracji i szkolnictwie ogółem poniżej 2000, w czem blisko połowę stanowią profesorowie wyższych uczelni, który to zawód nie wydaje się zbyt atrakcyjny, skoro w wielu wypadkach obsadzenie wakującej katedry okazuje się niemożliwe z powodu braku kwalifikowanych kandydatów. Na każdy z pośród pozostałych około tysiąca etatów wyższych przypada przeciętnie ponad 140 etatów niższych. Wydaje się jasne, że gdyby nawet wszyscy urzędnicy od V gr. w górę pobierali uposażenia ministerialne (wynoszące wraz z dodatkiem funkcyjnym 3000 zł netto), to i wówczas z okrojenia ich płac niewiele możnaby ulżyć doli pozostałych. Zamiast „urawniłowki" należałoby wysuwać postulat owej buławy marszałkowskiej, noszonej w tornistrze żołnierza: wysokie uposażenia za odpowiedzialne prace nie powinny razić, ale zachęcać do zbliżania się ku nim.

Są i takie nierówności w płacach, które trudniej usprawiedliwić. Robotnik czy urzędnik o analogicznych kwalifikacjach albo braku kwalifikacji ma różne warunki w zależności od tego, czy trafił na przedsiębiorstwo skartelizowane, a więc zamożne, czy niezrzeszone, a więc biedne; czy pracuje tam, gdzie potężny związek zawodowy broni jego praw, czy tam, gdzie struktura przemysłu utrudnia działalność związków; urzędnik państwowy w pewnych działach pracy może mieć dodatkowe dochody sięgające 100% uposażenia, których jest pozbawiony jego kolega, od którego się wymaga tych samych kwalifikacyj. Wreszcie owe sławne pensje dyrektorskie w skartelizowanym przemyśle, na pewno mogłyby być obniżone bez ujmy dla pełnionych funkcyj, do czego daje podstawę pewien niedawny a już zapomniany dekret.

Rzecz dziwna: wśród tylu głosów, domagających się zgodnym chórem, w imię czystego humanitaryzmu, ogólnej podwyżki płac pracowników niewykwalifikowanych, prawie się nie dostrzega żądania, które przecież naprawdę miałoby najwięcej wspólnego ze sprawiedliwością społeczną: dodatków rodzinnych. W stosunku do wyższych urzędników można przyznać słuszność zasadzie: płaci się za jakość pracy, niezależnie od potrzeb. Gdy jednak najniższe płace są i muszą być długo jeszcze normowane na podstawie dania bodaj możliwości wegetacji, tu różnice sytuacji rodzinnej wytwarzają rażące nierówności, a nadto jest to polityka wybitnie antypopulacyjna. Nauczyciel wiejski kawaler może sobie nawet pozwolić na pewien zbytek, ale jeśli ma nieostrożność założyć rodzinę — grozi mu nędza, chyba, że żona ma także źródło dochodu. To samo ma miejsce z liczną rzeszą biuralistów. Zdaje mi się, że zniesienie dodatków rodzinnych było jakimś wielkim nieporozumieniem, z którym czas skończyć. Najbliższa zwyżka płac, o ile będzie gospodarczo uzasadniona, powinna odbyć się w drodze przyznania dodatku: 10 zł miesięcznie za każde utrzymywane dziecko. Zdaje się, że postulat dość umiarkowany, a przecież jego realizacja bardziej przyczyni się do złagodzenia krzywdy społecznej niż demagogia niwelacyjna. Następna podwyżka powinna się wyrazić w podniesieniu dodatku z 10 na 15 zł oraz rozciągnięciu go na żonę, o ile nie posiada ona własnego źródła dochodu. Rzecz wydaje się warta dyskusji.

UWAGI

SMĘTEK ZMOTORYZOWANY

Publicystyka gospodarcza ustaliła już — jak się zdaje jednomyślnie — że w Polsce prowadzona jest polityka *demotoryzacyjna*. Oczywiście, wiemy z różnorodnych enuncjacyj, że istnieje tendencja i zamiar prowadzenia polityki *motoryzacyjnej*, ale to są dobre chęci, a my zajmujemy się w tej chwili faktami. Dobremi chęciami podobno piekło jest brukowane; przypuszczamy, że stan dróg piekielnych jest gorszy niż dróg polskich.

Polityka demotoryzacyjna prowadzona jest prawidłowo, przy użyciu wielu i różnorodnych środków, koncentrycznie do tego samego celu zmierzających. Stwierdzając to nie chcemy być gołosłowni. A więc: dziedzina celna (rekordowo wysoka ochrona celna, odgradzająca kraj od tanich wozów zagranicznych); dziedzina podatkowa (obciążenie podatkowe samochodów, dyskryminujące je w stosunku do innych środków lokomocji; traktowanie posiadacza samochodu jako podejrzanego o ukrywanie dochodu); dziedzina prawa przemysłowego (koncesjonowanie taksówek, dyskryminujące je w stosunku do przewozu konnego; koncesjonowanie fabryk i montażowni samochodowych); dziedzina komunikacyjna (uciążliwe rygory stosowane wobec komunikacji autobusowej); dziedzina inwestycyjna (wyłączenie garaży z pod dobrodziejstw podatkowych przewidzianych dla nowych budowli); dziedzina polityki cen (utrzymywanie na wysokim poziomie cen materiałów pędnych); dziedzina policyjna (traktowanie automobilisty jako winowajcy każdego wypadku; chętne tolerowanie anarchii drogowej); dziedzina turystyczna (szpuntowanie bezdrożami głównych szlaków turystycznych); dziedzina przedsiębiorczości prywatnej (rozganianie dyrekcyj państwowej fabryki, gdy tylko dyrekcja ta zdołała opracować długofalowy, dobry czy zły, program działania). Trudnoby wymienić inne zjawiska gospodarcze, równie starannie obstawione urządzeniami polityczno - gospodarczymi, popychającymi je w „zamierzonym" kierunku.

Naturalnie, obok urządzeń polityczno - gospodarczych oddziaływują na bieg wypadków automatyzmy i wymogi życia. Te prą ku motoryzacji i okazują się nawet bardzo silne, skoro wbrew wszystkim usilnym zabiegom demotoryzacyjnym jednak mamy w Polsce pewną ilość samochodów. Przeciwstawiają się również polityce demotoryzacyjnej niektóre enuncjacje oficjalne, zachęcające do zakupywania samochodów. Naogół jednak polityka demotoryzacyjna jest w całej pełni skuteczna i dzięki niej Polska stoi na pierwszym miejscu wśród państw pozbawionych samochodów.

Polityka demotoryzacyjna, obok swej wszechstronności, cechuje się również wielką konsekwencją. Najlepszym tego dowodem jest jej niezmienne trwanie, pomimo, iż nie sprzyja temu atmosfera społeczna, podsycana propagandą, prowadzoną przez prasę i nawet przez licznych dostojników państwowych. W tej konsekwencji swojej polityka demotoryzacyjna nie cofa się przed milionowymi kosztami, ponoszonymi np. przez wielkie miasta, których asfaltowe jezdnie szybko niszczone są przez kopyta końskie. Decyduje się nawet na ofiary z krwi i mienia obywateli, rozbijanych i kaleczonych dzięki chaosowi drogowemu. Ponadto o wielkiej konsekwencji polityki demotoryzacyjnej mówi stanowcze przeciwstawianie się zdarzeniom mogącym wzmóc motoryzację. Więc np. wydano kiedyś zarządzenie, zezwalające urzędnikom na posiłkowanie się własnym samochodem w podróżach służbowych: natychmiast przeciwstawiono temu przepisy szczegółowe, z zupełną skutecznością niwelujące to niekonsekwentne zarządzenie. Więc np. nakazano dorożkarzom warszawskim zaopatrzenie się w liczniki, utrudniające im konkurencję z taksówkami: nakaz ten udało się zsabotować, gdyż przewidziane terminy minęły, a nikt taksometru na dorożce nie widział. Więc np. anarchia drogowa, zgodnie z ideą demotoryzacyjną niszcząca co rok pewno z setkę samochodów, została zagrożona przez zaczątki policji drogowej: już na r. 1938 udało się skreślić w budżecie kredyty na policję drogową.

Bardzo też zręcznie zdołano osłabić dotkliwość dwu najsilniejszych ciosów, jakie ostatnio uderzyły w politykę demotoryzacyjną. Mamy na myśli zwrot podatku dochodowego dla nabywców samochodów i obniżenie cen benzyny. Rozporządzenie o zwrocie podatku dochodowego wyinterpretowano natychmiast w sposób możliwie najściślej zgodny z celami demotoryzacji. Mianowicie wbrew precedensom istniejącym w analogicznej procedurze, stosowanej do osób wznoszących nowe budowle, suma wydana na zakup samochodu nie jest odejmowana od sumy wymiarowej podatku dochodowego i nie wpływa na wymiar podatku wedle niższej stopy progresywnej. Praktyka urzędów skarbowych nie stanęła wprawdzie na wysokości zadania i nie uniemożliwiła korzystania z omawianego dobrodziejstwa, ale bądź co bądź udało się dosyć poważnie namnożyć liczbę niezbędnych papierków i w każdym razie zupełnie wyrwano kieł zarządzeniu dyrektora departamentu podatków i opłat, nakazującemu, aby te sprawy załatwiano w krótkim, rygorystycznie ustalonym terminie, zdaje się dwutygodniowym. (Proponujemy p. dyr. Lubowickiemu, aby kazał sobie przedstawić sto *przypadkowo dobranych* spraw i obliczył w jakim procencie wypadków między prośbą nabywcy samochodu a wypłaceniem mu zwrotu, minął okres krótszy od nakazanego przezeń dwutygodniowego). Zdołano też utrudnić stosowanie zwrotów do zbyt wielkiej liczby wozów, nabywanych przez jedną osobę. Ponieważ zarządzenie o zwrocie podatku dochodowego samo w sobie zawierało pewien sukces idei demotoryzacyjnej, gdyż było mniej skuteczne od np. obniżenia w odpowiednim stosunku ceł przywozowych, oraz wykluczyło nabywanie wozów najbardziej dostosowanych do warunków polskich — przeto można twierdzić, że nawet na tym klęskowym dla siebie terenie, konsekwencja polityki demotoryzacyjnej ujawniła się bardzo wyraźnie.

Co zaś do cen benzyny — wnet udało się ich obniżkę w dużej części wyrównać przez zastąpienie benzyny t.zw. mieszanką, odpowiednio droższą. Ponadto, wbrew zapowiedziom, wbrew spadkowi deficytowego eksportu, wbrew bardzo poważnej poprawie rentowności rafineryj, wbrew zwiększeniu zbytu i zmianom sortymentowym, poprawiającym utargi — wbrew tym wszystkim okolicznościom udało się odsunąć ad calendas grecas zmorę projektowanej niegdyś ponownej obniżki ceny benzyny. I tu więc triumfowała konsekwencja demotoryzacji.

Bynajmniej nie jesteśmy pewni, czy można uwagom powyższym przypisać kostyczną złośliwość. Wydawałoby się, że tak, że jest złośliwością twierdzenie, iż panowie odpowiedzialni za politykę motoryzacyjną robią coś wręcz odmiennego od tego, co powinni robić i co chcą robić. Jednak wymowa faktów jest zanadto jednorodna i zanadto przekonywująca. Złośliwość jest na pewno, ale sądzimy, że nie tyle po stronie niżej podpisanego, co po stronie faktów. Jakieś fatum zawisło nad ważnym problemem motoryzacji, fatum przypominające tragikomiczną i niemoralną historię zapalniczek. Nikogo nie posądzamy o świadome prowadzenie polityki demotoryzacyjnej, bo to byłoby złośliwością krzywdzącą i kłamliwą — ale zupełnie poważnie twierdzimy, że polityka demotoryzacyjna *naprawdę* w Polsce istnieje, o ile za politykę gospodarczą uznać zespół urządzeń prawnych i organizacyjnych, kształtujących bieg wypadków gospodarczych. W tym rozumieniu niezamierzona, ale istniejąca polityka demotoryzacyjna istnieje i napewno jest silniejsza od istniejących również fragmentów polityki motoryzacyjnej. Tem samym wzrost liczby samochodów odbywa się *wbrew* warunkom, stworzonym przez urządzenia polityczno - gospodarcze, które per saldo są urządzeniami demotoryzacyjnymi.

Co więcej, obrzydliwie realny paradoks polityki demotoryzacyjnej bynajmniej nie jest tylko pozostałością z ubiegłych lat, złośliwym balastem, z którym nie możemy sobie poradzić, nie umiemy go wyrzucić. *Polityka demotoryzacyjna jest w ofensywie*, fakty składające się na nią — mnożą się. Wprost trudno znaleźć tu właściwą formę redakcyjną, gdy paradoks siedzi na paradoksie i paradoksem pogania. Przecież jest klasyczną niekonsekwencją, gdy polityka gospodarcza konserwuje i uruchamia siły, działające wbrew zamierzeniom tej polityki — a ta niekonsekwencja jest konsekwentna. Na absurdalnym założeniu, że „polityka demotoryzacyjna" jest świadomym i konsekwentnym działaniem jakiegoś hipotetycznego idioty, jakiegoś złośliwego Smętka, psującego dobre zamierzenia ludzi, na założeniu tym się opierając czyniono przewidywania i — o horrendum! — przewidywania te sprawdzają się. Uczynił to publicysta gospodarczy „Gazety Polskiej", który omawiając zarządzenie wprowadzające liczniki w warszawskich dorożkach konnych, w dn. 17 października ub .r. wysnuł następujące proroctwo: „Gdy przyjdą terminy ostateczne, podniesie się lament... Przewidujemy, że... lamenty dryndziarzy okażą się wymowniejsze od zdrowego rozsądku polityków gospodarczych. Terminy zastosowania liczników będą prolongowane parokrotnie, koń będzie uprzywilejowany w stosunku do motoru, upragnionego w Polsce i odganianego z Polski". I cóż? To absurdalne proroctwo okazało się prawdziwe, terminy mijają, a nikt na dryndzie warszawskiej licznika nie widział.

W tem coś jest. Absurd, jakim jest „polityka demotoryzacyjna", ma cechy konsekwencji. Zakładając tę konsekwencję, można snuć przewidywania.

Można więc przewidywać np. dalsze losy zwrotu podatku dochodowego. Przy wszystkich swych mankamentach było to posunięcie polityki *motoryzacyjnej* i to skuteczne, gdyż dzięki niemu właśnie, a wbrew zabiegom demotoryzacyjnym, wzrost liczby samochodów w r. 1936 wyniósł 2836 sztuk, a w r. 1937 — 5752 sztuk, czyli był dwukrotnie większy. Przeto przy naszym absurdalnym założeniu należy przewidywać: 1° po wygaśnięciu obecnie obowiązujących rozporządzeń nie będą one wnet odnowione i nastąpi okres przejściowy czystej polityki demotoryzacyjnej [1]; 2° ponieważ stare rozporządzenie było zbyt skuteczne, zbyt motoryzacyjne, przeto nowe rozporządzenie nie tylko nie rozszerzy korzyści osiąganych przez obywatela i motoryzację, ale je zwęzi; 3° nie będą zastosowane żadne wyprowadzone z dotychczasowej praktyki uproszczenia proceduralne dla ubiegających się o zwroty; 4° nie będą złagodzone dotychczasowe ograniczenia co do liczby i typu samochodów.

Można też przewidywać, że wbrew wszystkim argumentom umożliwiającym zniżkę cen benzyny i zalecającym tę zniżkę — takowa nie nastąpi, a co najmniej będzie odsunięta w daleką przyszłość... ponieważ ostatnia zniżka podniosła zbyt o 25%, a więc była skutecznym zabiegiem motoryzacyjnym.

Można przewidywać, że nie uczyni się nic, aby uchylić przywileje podatkowe i administracyjne konia w stosunku do motoru.

Można przewidywać, że najważniejsza w Polsce arteria turystyczna, jaką jest szosa do Zakopanego, będzie budowana z rekordową powolnością.

Można czynić dużo takich przewidywać i co najgorsze — gotowe one się sprawdzić. Ale nie należy mnożyć tych przewidywań, gdyż człowiek przychylnie i optymistycznie traktujący swych bliźnich, musiałby wreszcie zacząć przewidywać, że sam jest idiotą.

Franciszek Kozłowski.

EUROPEJSKOŚĆ MŁODEGO POKOLENIA

Długo zastanawiałem się, zanim napisałem tytuł niniejszej uwagi. Bo bardzo dużo jest w naszym życiu faktów, które można by wysunąć przeciw takiemu twierdzeniu. Bo to przecież i rozruchy antysemickie i prymitywizm myślenia i niedostateczne przemyślenie różnych problemów itd. itd. jak się to często zarzuca różnym przejawom naszego życia.

Niewątpliwie jesteśmy cokolwiek w tyle poza Europą — to przecież truizm. Niewątpliwie nie nadążamy za rozwojem myśli europejskiej, która zresztą jest wyrazem dalej posuniętego rozwoju ekonomicz-

[1]) Ten fragment proroctwa p. Kozłowskiego sprawdził się już, gdyż od 1 b. m. ulgi podatkowe nie istnieją (przyp. Red.).

nego i kulturalnego, jest wyciągnięciem wniosków z większej ilości doświadczeń i dłuższego czasu trwania tych doświadczeń. Zwłaszcza czasu. Wiele myśli nie może dojrzeć bez upływu czasu, mimo nawet faktów stojących przed oczyma. Wreszcie, jeśli chodzi o różne niezbyt przyjemne przejawy walki, to trzeba pamiętać, że żaden naród nie wytworzył swej kultury i swej siły, posługując się jedynie dżentelmeńskiemi metodami walki. Brudna praca i „mokra robota" nieodłącznie towarzyszą wszystkim głębszym przemianom ustrojowym. Wynika to już z samej ułomności ludzkiej natury.

Wróćmy jednak od razu od tej dłuższej dygresji, która jest usprawiedliwiona jedynie tym faktem że piszę w sylwestrowy wieczór, kiedy człowiek ma skłonność do traktowania wszystkich spraw sub specie aeternitatis.

Konkretnie chodzi mi o tezy gospodarcze, jakie ogłosiło czasopismo „Polityka", popularnie nazywane organem młodych konserwatystów. Członkowie grupy wydającej to pismo protestują przeciw tej nazwie — i słusznie. Tezy gospodarcze, autorstwa p. K. Studentowicza „wzięte za swoje" przez „Politykę" nie mają nic wspólnego z konserwatyzmem, przynajmniej jeśli chodzi o tezy zasadnicze. Zastrzeżenie to robię dlatego, że omawiane tezy są pomieszaniem rzeczy zasadniczych ze szczegółami wykonawczymi, przy tem szczegóły są nieraz dysproporcjonalnie rozwinięte. A że niektóre z tych szczegółów, jak np. długi wypad przeciw „przedwczesnym zdobyczom socjalnym" są częścią każdego programu reakcyjnego, to łatwo będzie wielu krytykom zrobić taki zarzut w stosunku do całości.

Przyczyny tej dysproporcjonalności dopatruję się w jednoosobowym autorstwie tez. Taka robota musi być robiona „komisyjnie" bo inaczej muszą uwydatnić się różne „koniki" i urazy psychiczne jednostki. Autor przy tem nie jest konsekwentny. Nakładając na państwo obowiązek dostarczenia pracy wszystkim, nie może strawić świadczeń społecznych, których zadaniem jest zapewnienie opieki lekarskiej, zabezpieczenia na starość itd. szerokim masom. Można krytykować organizację i system rozwiązywania tego zagadnienia. Ale nie podobna pomyśleć by państwo pozostawiło te sprawy w ogóle odłogiem.

Istotę sprawy stanowią pierwsze cztery punkty ogłoszonych tez. Głoszą one, że:

1) własność prywatna powinna być traktowana jako depozyt społeczny i że nakłada na posiadacza obowiązki w stosunku do społeczeństwa,

2) wszelkie dochody ponad pewien poziom konsumcyjny powinny być reinwestowane,

3) państwo powinno wydać zarządzenia zmuszające do reinwestycji dochodów i uniemożliwiające ich wywóz,

4) dopóki bezrobocie nie jest rozessane to płace zatrudnionych nie powinny rosnąć.

Otóż to są tezy zgodne ze współczesnym europejskim systemem wartości i ocen, z istotą europejskiej myśli ekonomicznej. Sceptyk może zapytać: czy aby jest to dostatecznie szczere, a raczej czy dostatecznie przeżyte i przemyślane aby nie cofnęło się przed lada oporem. Optymista odpowie: jeżeli jeszcze nie, to z czasem to nastąpi. Zwłaszcza u wszystkich jednostek, myślących i czujących rzetelnie, to znaczy takich, które wypowiedzianą myśl traktują jako coś obowiązującego ich. Optymista może znaleźć dla swych myśli oparcie w tym fakcie, że jeśli chodzi o owe 4 tezy, to są one wykładnikiem postawy życiowej całego młodszego pokolenia dzisiejszej Polski, a także i całej Europy.

Piszemy — całego młodszego pokolenia — aczkolwiek istnieją wyjątki, które jak wiadomo potwierdzają regułę. Ściślej należy powiedzieć w ten sposób: wyłuszczone powyżej 4 tezy streszczające pogląd na rolę i zadania państwa w stosunku do życia gospodarczego są wspólne wszystkim ideologicznym kierunkom pokolenia wyrosłego w Polsce Niepodległej, kierunkom stworzonym, względnie przetworzonym przez to pokolenie, zgodnie z tym tworzywem myślowym, jakiego dostarcza życie w warunkach państwowej niepodległości w powojennym świecie. „Młodzi konserwatyści" znajdą się tu obok „Wici" i ONR.

Wspomniane wyjątki dotyczą różnych sekcyj młodzieżowych starych stronnictw politycznych, niezależnie od tego czy są to socjaliści czy endecy, czy jacyś inni epigoni XIX wiecznego sposobu myślenia, dość że są wychowani pod patronatem i nie tworzyli swych koncepcyj myślowych samodzielnie.

Wydaje się, iż można powiedzieć, że deklaracja „Polityki" zamknęła pod koniec 1937 roku pewien etap kształtowania się myśli pokolenia wyrosłego w Polsce Niepodległej. Etap ten jest rewolucyjny — w stosunku do przeszłości, a konserwatywny w stosunku do teraźniejszości. Są to bowiem wnioski z układu stosunków jaki powstał w Europie po wielkiej wojnie, mianowicie z wytworzenia się licznych państw narodowych, a równocześnie są to konieczne warunki w których te państwa mogą istnieć i rozwijać się.

Cóż jest bardziej dla Polski godne konserwowania i zachowywania jak warunki istnienia państw narodowych?

r. s.

BOHDAN ŻOŁĄTKOWSKI

POLITYKA BUDOWLANA W IMPASIE

Do szeregu zarzutów przeciwko dotychczasowej polityce popierania prywatnego budownictwa mieszkaniowego dodać trzeba obecnie jeszcze jeden: nie leży ona na linii realizacji planu inwestycyjnego.

Komisja prawnicza Senatu, obradująca w dniu 29 grudnia r. ub. nad nowelą do ustawy o ochronie lokatorów, uchwaliła rezolucję, wzywającą rząd do opracowania programu finansowania budownictwa mieszkaniowego. Z prawie jednobrzmiących strzeszczeń tej rezolucji w prasie codziennej wynika, że, zdaniem komisji, program ten powinien obejmować:

1) finansowanie budownictwa publicznego przez kierowanie środków z budżetu państwa i innych osób publiczno-prawnych, a zwłaszcza instytucji ubezpieczeń społecznych i asekuracyjnych na życie i na dożycie do budownictwa mieszkaniowego,

2) finasowanie budownictwa prywatnego przy pomocy kredytów na warunkach ulgowych, udzielanych przez B. G. K. i przy pomocy ulg podatkowych,

3) stworzenie udogodnień dla budownictwa domów robotniczych przez przedsiębiorstwa, powstające w ośrodkach niedostatecznie rozbudowanych.

Komisja zastrzega jednocześnie, że wszelkie ulgi, zarówno kredytowe, jak i podatkowe powinny być stosowane wyłącznie względem budownictwa mieszkań małych (maximum 2 izby i kuchnia), o ile nie są wyposażone luksusowo.

Ogólnikowość tych postulatów jest rażąca. Być może, zresztą, że zarys programu budowlanego, zanotowany niejako na marginesie prawniczej dyskusji o ustawie o ochronie lokatorów nie mógł wypaść inaczej; uczestnicy dyskusji dali bądź co bądź wyraz... trosce o przyszłość wielomilionowej rzeszy lokatorskiej.

Nie znając przebiegu dyskusji, która poprzedziła zapewne uchwalenie streszczonej wyżej rezolucji, trudno sądzić o opinii autorów o tendencjach, jakie dominowały w naszej polityce mieszkaniowo-budowlanej lat ostatnich. Na podstawie jednak rezolucji stwierdzić należy, że postulaty komisji w niczem istotnym nie odbiegają od tych wytycznych, które charakteryzowały nasz dotychczasowy program budowlany.

Nie jest niczem nowym (choć mogłoby się tak wydawać) zastrzeżenie po raz któryś tam wszelkich udogodnień kredytowych i podatkowych dla budownictwa mieszkań wyłącznie małych: przecież całe dotychczasowe ustawodawstwo mieszkaniowo-budowlane podkreślało z większą lub mniejszą mocą tę zasadę, nie stosowaną zupełnie w praktyce.

Jeżeli nie ustala się nieprzekraczalnej górnej granicy komornego w mieszkaniach budowanych przy pomocy czynnika publicznego — to zupełnie niewiadomo, co należy rozumieć pod pojęciem luksusu w ich wyposażeniu. Przecież zaledwie 33% mieszkań warszawskich jest zaopatrzone w ustępy; przecież zaledwie 2% jednoizbówek warszawskich i 23% dwuizbówek posiadają ustępy [1]). Z punktu więc widzenia stołecznego standartu mieszkaniowego wymienione mieszkania należało by niewątpliwie zaliczyć do kategorii luksusowych. Czy wobec tak fatalnie zaniedbanego zaopatrzenia sanitarnego mieszkań nie należało by raczej ustalić obowiązujące minimum wyposażenia mieszkań małych wraz z górną granicą czynszu; no i zbadać zasady kalkulacji skartelizowanych wytwórni sprzętu sanitarnego?

Są to jednak momenty drugorzędne i mało istotne. Ważne natomiast jest to, że komisja, jak z jej wytycznych wynika, proponuje kontynuować dotychczasową politykę budowlaną. Jest to niesłuszne i niepokojące.

O następstwach tej polityki można dzisiaj już nic nie mówić. Kilkumiesięczna dyskusja publiczna, poparta materiałem statystycznym i przyczynkami historycznemi, spopularyzowała szeroko rozmiary społecznej klęski mieszkaniowej podstawowej masy ludności miejskiej; rzeczy te są dzisiaj znane każdemu czytelnikowi prasy codziennej.

Wymagają jednak omówienia zasady tej polityki, a już szczególnie pilne wydaje się skontrolowanie tych zasad z punktu widzenia koncepcji gospodarczych, stawiających sobie za cel przyspieszenie dojrzewania nowoczesnej struktury ekonomicznej kraju.

Wydaje się zupełnie zrozumiałe, że nasza polityka budowlana odzwierciadlała również i w latach ostatnich te zmiany jakie zachodziły w sytuacji gospodarczej. W gospodarce światowej w roku 1933 zarysowały się już zupełnie wyraźnie następstwa wyczerpywania się zapasów i skutki pomogania koniunkturze. Wprawdzie na zmianę depresji nie przyszła jeszcze poprawa, raczej pojawiły się pewne czynniki, które pozwalały charakteryzować sytuację jako depresję szczególnego rodzaju, ale w każdym razie w 1933 podstawowe gałęzie światowej produkcji przemysłowej wykazały poprawę, aczkolwiek nierównomierną, swych wskaźników. Odbicie się od dna depresji nastąpiło u nas, jak wiadomo, z opóźnieniem. Poprawa ogólnego wskaźnika wytwórczości przemysłowej wynosiła zaledwie 2 punkty, wskaźnik zaś inwestycji maszynowo-przemysłowych o dalsze 2 punkty się obniżył [2]). I jeżeli inne wskaźniki inwestycji po raz pierwszy od początku kryzysu wykazują poprawę, to w najszybszym tempie w okresie 1933 —

[1]) Drugi Powszechny Spis Ludności. Mieszkania i gospodarstwa domowe w m. st. Warszawie. Nakładem G. U. S., 1937.

[2]) Te i następne wskaźniki ruchu inwestycyjnego zostały zaczerpnięte z Małego Rocznika Statystycznego 1937.

1935 rośnie wskaźnik inwestycji budowlanych nie mieszkaniowych, realizowanych ze środków publicznych w ramach planu państwowego.

Kapitał prywatny wykazuje w dalszym ciągu wielką ostrożność w wyborze lokat. Inwestycje przemysłowo wydają mu się zbyt ryzykowne, wobec trudnej do przewidzenia stopy ich przyszłych rentowności. Istnieje jednak szereg motywów, dla których kapitalista ze stosunkowo większym zaufaniem traktuje inwestycje mieszkaniowo-budowlane. Więc:

1) lokata tego typu w warunkach jeszcze istniejącej depresji jest bez wątpienia najpewniejsza,
2) wskaźnik kosztów budowy od roku 1932 spada,
3) czynsze od roku 1932 zwyżkują, wreszcie
4) ustawodawstwo mieszkaniowo-budowlane, przewidując tańszy kredyt na cele popierania budownictwa mieszkaniowego oraz ulgi podatkowe, zapewnia dodatkową marżę zysku, faworyzuje w warunkach depresji ten typ lokat.

Pełnego jeszcze ciągle zwątpień kapitalistę przyjął z szeroko otwartymi ramionami Bank Gospodarstwa Krajowego. Przemysłowiec, który poczuł w sobie powołanie kamienicznika, znalazł otuchę i pokrzepienie ze środków Państwowego Funduszu Budowlanego. Udział kredytobiorców prywatnych w pożyczkach budowlanych rozdzielanych przez B. G. K. wzrasta w szybkim tempie od 20% w roku 1932 do 80% w roku 1935 [3]).

Wywołuje to w strukturze przyrostu mieszkaniowego, kredytowanego przez B. G. K. ewolucję niekorzystną z punktu widzenia pracowników najemnych, poszukujących mieszkań tanich więc małych. Odsetek bowiem mieszkań 1- i 2-izbowych w tym przyroście szybko spada: 1932 — 68,3%, 1933 — 44,2%, 1934 — 45,2%, 1935 — 41,9% [3]). Polityka więc faworyzowania prywatnego budownictwa była sprzeczna, trzeba to podkreślić, z interesami tej części ludności, którą najbardziej nęka kryzys mieszkaniowy. Polityka ta była jednak instrumentem przeznaczonym dla celów zgoła odmiennych, niż poprawa warunków mieszkaniowych tych, którzy jej najbardziej potrzebują.

Była ona zato korzystną z punktu widzenia potrzeby mobilizacji nieczynnych gospodarczo kapitałów. Wskaźnik inwestycji mieszkaniowo - budowlanych po okresie szybkiego spadku, zaczyna w roku 1933 zwyżkować, jakkolwiek (do roku 1936) w tempie słabszym, niż wskaźnik inwestycji budowlanych nie mieszkaniowych. Poprawiają się wskaźniki wytwórczości przemysłów, pracujących na potrzeby budownictwa. Wzrasta wskaźnik robotniko-godzin przepracowanych w budownictwie. Wzrasta wreszcie w okresie 1933 — 1935 ilość izb w budynkach rozpoczętych w miastach ponad 20 tys. mieszkańców od 44.7 tys. do 71.2 tys. [4]).

Czy instrument ten zachował wartość dla swych celów także w latach następnych? W roku 1936 występują w dynamice wskaźników inwestycyjnych pewne nowe zjawiska. Więc przede wszystkim wskaźnik inwestycji maszynowo-przemysłowych wzrasta szybciej niż pozostałe. Wskaźnik inwestycji mieszkaniowych rośnie również bardzo znacznie; na prywatnym rynku budowlanym można dostrzec wyraźną gorączkę spekulacyjną; w IV bowiem kwartale, kiedy powstała niepewność co do dalszego losu ulg budowlanych, zaczęto pospiesznie rozpoczynać nowe budowy, dzięki czemu wskaźnik zatrudnienia osiąga rekordową od 1932 wysokość. Jednak już w I kwartale 1937, z chwilą wyjaśnienia, że ulgi zostały utrzymane, następuje gwałtowne zahamowanie prywatnego ruchu budowlanego, kubatura rozpoczętych budynków jest o 48% niższa, niż w I kwartale 1936; następuje co prawda później pewna poprawa, ale dla całego I półrocza 1937 w porównaniu z I półroczem 1936 wskaźnik rozpoczętych kubatur jest również niższy o 27% [5]). W sposób bardzo charakterystyczny przełom ten odbił się na przyroście poszczególnych typów mieszkań. Okazuje się, że przyrost mieszkań 1-izbowych w I kwart. 1937 stanowił 94% odpowiednio do przyrostu w I kwart. 1936, 2-izbowych — 73%, 3-izbowych — 61%, 4 — 5-izbowych — 59%, 6-izbowych — 43% [6]). Budownictwo mieszkań średnich, większych i wielkich było zawsze specjalnością prywatnego kapitału; i właśnie od tego typu budownictwa rozpoczął się już wyraźny odwrót kapitalisty prywatnego.

Wydaje się, że intensywny prywatny ruch budowlany spowodował pewne przerosty na odcinku mieszkań większych. Ponadto pewien wzrost kosztów budowy w ciągu roku 1936 również przyczynił się zapewne do obniżenia rentowności budownictwa spekulacyjnego.

Wydaje się zwłaszcza, iż rentowność ta obniżyła się w stosunku do rentowności przemysłu wkraczającego w okres poprawy. Pan Wicepremier, min. Eug. Kwiatkowski przytoczył w swym ostatnim przemówieniu sejmowym informacje Izby Skarbowej Grodzkiej w Warszawie, z których wynika, że wszystkie przedsiębiorstwa grupy metalowej wykazały za ostatni rok wedle własnej oceny wzrost dochodowości o 8%, grupa włókiennicza o prawie 11%, grupa chemiczna o zwyż 20%, przy czem grupy: metalowa, chemiczna, elektrotechniczna i drzewna wykazały sumarycznie dochodowość bliską, lub nieco wyższą niż w roku 1928. Na gruncie poprawy rentowności przemysłu rośnie wskaźnik inwestycji przemysłowych; przemysłowiec - kamienicznik wraca znów do przemysłu drogą, którą znów, oczywiście toruje mu państwo.

Natężenie budownictwa mieszkaniowego osłabło; jeżeli zaś wskaźnik zatrudnienia w przemyśle budowlanym w dalszym ciągu rośnie, jest to skutkiem zlecania robót publicznych firmom prywatnym i wzmożonego budownictwa fabrycznego.

W roku 1937 Polska pod wieloma względami nadrabia opóźnienie koniunkturalne lat ostatnich. To dopędzanie koniunktury światowej, na losy której wpływać będzie w dalszym ciągu tyle czynników pozagospodarczych, odbywa się jednak w starym i znoszonym ekwipunku technicznym. Czy więc celowym jest z punktu widzenia realizacji planu inwestycyjnego wstrzymywanie przy użyciu specjalnych zabie-

---

[3]) Sprawozdania roczne B. G. K.

[4]) Mały Rocznik Statystyczny 1937.

[5]) Koniunktura Gospodarcza 1937.

[6]) Przegląd Budowlany 1937 — Nr. 6.

gów, taniego kredytu i ulg podatkowych, odpływu kapitałów z budownictwa mieszkań społecznie nie niezbędnych do inwestycji przemysłowych, których „naturalna” rentowność jest wyższa?

Polityka faworyzowania budownictwa prywatnego była, jak powiedziano, sprzeczna z interesami pracowników najemnych; obecnie jednak staje się ona szkodliwym anachronizmem również z punktu widzenia tych celów, które jej pierwotnie przyświecały. Nie ma żadnych racji dla jej kontynuowania — wszystko przemawia przeciwko niej.

Pozostaje natomiast zagadnienie budownictwa tanich mieszkań dla fizycznych i umysłowych pracowników najemnych. Głód mieszkaniowy, odczuwany przez te warstwy zaostrza się coraz bardziej, a kapitał prywatny przy wszystkich przywilejach nie podejmuje się masowego budownictwa mieszkań o komornym skalkulowanym odpowiednio do możliwości płatniczych niezamożnych lokatorów. Ale fatalne warunki mieszkaniowe pracowników najemnych są jednym z dodatkowych czynników, ograniczających możliwości rozwoju sił wytwórczych kraju. I właśnie dlatego, że chodzi tu o możliwości rozwoju sił wytwórczych kraju — ani prawa ekonomii cedułki giełdowej, ani żadne wymogi koniunktury nie są współmierne z wagą tego kapitalnego zagadnienia.

Nie było jednak jeszcze takich przedsiębiorców prywatno - kapitalistycznych, którzy by podporządkowywali swą działalność gospodarczą, nakazom dobra rozwoju sił wytwórczych społeczeństwa; największym więc błędem byłoby oczekiwać, że w nowopowstających ośrodkach przemysłowych, fabrykanci, nawet przy pomocy państwa lub gmin, rozwiążą zagadnienie mieszkaniowe robotników. „Im szybciej w jakimś mieście handlowym lub przemysłowym nagromadza się kapitał, tem szybszy jest dopływ materiału ludzkiego podlegającego wyzyskowi, tem gorsze są improwizowane pomieszczenia mieszkalne robotników”. Gdyńskie „Pekiny” i „Budapeszty”, których lepianki zaludnia 40 tysięcy robotników są żywym świadectwem, że to historyczne prawo nagromadzenia kapitału, sformułowane przed 70 laty w Anglii, nie straciło swej mocy i dzisiaj w Polsce. Uwzględniając także i to, że budownictwo patronalne niesłychanie uzależnia robotnika - lokatora od fabrykanta - kamienicznika należy się wypowiedzieć stanowczo przeciwko pozostawianiu budownictwa robotniczego inicjatywie przemysłowców. Inna rzecz, że należało by jednak zbadać możliwości opodatkowania przemysłu na potrzeby społecznego budownictwa robotniczego.

Budownictwo społeczne niezbędnych mieszkań dla pracowników najemnych musi być traktowane jako integralna część planu unowocześnienia ekonomiki kraju. Nie wchodząc w to, w jakich granicach ten plan może być zrealizowany, trzeba jednak z zupełną pewnością stwierdzić, że robotnik nowoczesnej fabryki nie może szukać ratunku przed klęską mieszkaniową w bieda - budownictwie.

Sytuacja wymaga, a chwila, jak próbowano udowodnić, szczególnie temu sprzyja, by cały aktualnie istniejący kredyt budowlany przeznaczyć wyłącznie na społeczne budownictwo tanich mieszkań dla pracowników najemnych fizycznych i umysłowych. Przy sumach kredytu budowlanego B. G. K. z roku 1936 można by w ten sposób w czwórnasób rozszerzyć akcję budowlaną T. O. R-u. Byłby to tylko pierwszy krok, ale kroku tego trzeba dokonać już teraz, jak najszybciej.

NOTATKI

BRAK WIARY, CZY BRAK DOBREJ WIARY?

Każdy człowiek ma skłonność do uważania za sprzeczne z rozumem w ogóle tego, co sam nie rozumie. Taką też była moja pierwsza reakcja, kiedy przeczytałem zamieszczony w wigilijnym numerze wileńskiego „Słowa” artykuł p. Ksawerego Prószyńskiego p. t. „Trzej o C. O. P.”, w którym autor omawia trzy publikacje, dotyczące Centralnego Okręgu Przemysłowego. Dopiero potem nasunęły mi się wątpliwości, czy moje pierwsze wrażenie jest słuszne, czy nie można ukazania się tego artykułu wytłumaczyć inaczej. Osobiście uważam za niedorzeczne świadome rozmijanie się z prawdą wtedy, kiedy łatwo jest sprawdzić istotny stan rzeczy. Pomijam już rzucone mimochodem przez p. Prószyńskiego zdanie, że Polska liczy sobie 2 razy więcej robotników niż urzędników, podczas gdy w Małym Roczniku Statystycznym można zobaczyć, że robotników jest 4½ razy więcej niż pracowników umysłowych w ogóle, a robotników w przemyśle 10 razy więcej niż urzędników w służbie publicznej. Ostatecznie można to potraktować jako licentia poetica publicysty, który chce uwydatnić przerost biurokracji. Inne refleksje natomiast budzi następujące zdanie: „Wreszcie w tzw. „planie inwestycyjnym” ministerstwa skarbu [1]), figuruje przecież rubryka „na propagandę gospodarczą”, a w tej rubryce kolosalna jak na Polskę suma dwóch milionów złotych. Oczywiście, spora porcja stutysiączek utkwi w sieci referentów, urzędasów, „szefów propagandy”, ale z dwóch milionów zawsze coś dopłynie, wzmoże entuzjazm, zainteresuje, zwróci uwagę”.

Plan inwestycyjny Ministerstwa Skarbu jest ustawą, uchwaloną przez Izby ustawodawcze i ogłoszoną w Dzienniku Ustaw dn. 2.III.37 r. Nr. 15, poz. 96 — a więc jest każdemu dostępny — każdy może zobaczyć, jeśli się zainteresuje, że rubryki „na propagandę gospodarczą” *nie ma w nim wcale*. Dlaczegóż więc Pan Prószyński tak napisał?

[1]) Ministerstwo Skarbu — to nazwa własna instytucji, więc należy pisać z dużej litery ze względów czysto gramatycznych, tak samo jak Bank Polski, Bank Handlowy itd. Mała litera w artykule p. K. P. jest bardzo małostkową złośliwością.

Zapewne plotkę taką posłyszał. Plotek najbardziej nieprawdopodobnych nawet krusuje mnóstwo. Sam kiedyś słyszałem od „inteligentów” że jeden z ministrów wywiózł do Francji w walizach dyplomatycznych 200 milionów złotych. „Inteligent” nie zastanowił się nad tem, że 200 milionów w złocie waży 40 tysięcy kilogramów, czyli stanowiłoby 2 tysiące waliz 20 kilogramowych. Suma 2 milionów złotych na propagandę prasową w Polsce byłaby istotnie kolosalną. Wydatek taki bez wątpienia znalazłby odzwierciadlenie w stopie życiowej środowiska dziennikarzy i publicystow. Właściwie więc nie sięgając już do Dziennika Ustaw p. Prószyński mógł zdawać sobie sprawę, że plotka, którą usłyszał jest nieprawdziwa lub co najmniej nieprawdopodobna. Czemuż więc dał jej wiarę? Może tylko dlatego, że jak sam pisze „wykształcenie naszych literatów jest słabe, dziennikarzy tyle, co żadne”... Tak, ale p. Ks. Prószyński, to człowiek z szerokiego świata i powinien być obznajmiony z techniką pracy publicystycznej. Jak mógł więc zbudować cały wielki artykuł, przeciwstawiający się ogólnemu prądowi na plotce, nieprawdziwość której tak łatwo wykazać? Nie, istotnie nie podobna przypuszczać by autor ze świadomością przeinaczył rzeczywistość, postawił pod znakiem zapytania cały swój dorobek publicystyczny, uprawnił bowiem wszelkie wątpliwości co do źródeł z jakich korzysta. Zachodzi więc możliwość, że usłyszana wiadomość wydała się p. K. P. tak wiarygodna i przekonywująca, że przez myśl mu nie przeszło, iż mogłaby być nieprawdziwa. Bo proszę pomyśleć: olbrzymia większość prasy, najróżniejszych kierunków pisze z uznaniem, ba! z entuzjazmem o pracy Rządu. Gdzie? w Polsce? To niemożliwe, żeby coś podobnego działo się za darmo. Niżej 2 milionów złotych taki entuzjazm nie mógł kosztować!

Jak stwierdziliśmy wyżej p. K. P. jest człowiekiem bywałym, nie jest więc wykluczone, że zna kalkulację kosztów produkcji entuzjazmu na świecie i na podstawie tej znajomości otaksował entuzjazm swoich kolegów po fachu w Polsce na 2 miliony złotych. Wydaje mi się jednak, że autor w czasie swych podróży zatracił wyczucie spraw polskich i polskiej psychiki. Otaksował entuzjazm w sprawie C. O. P. i za wysoko, bo on nic nie kosztował i za nisko, bo jest on bezcenny. Pisarze i publicyści polscy może pierwszy raz w dziejach Narodu Polskiego poczuli się współtwórcami rzeczywistości, a nie tylko obserwatorami, nastrojonymi mniej lub więcej krytycznie czy nawet pozytywnie. Ich jest rzeczą, czy będą na wystąpienie p. K. P. reagować. Ze swojej strony wyrażę tylko przypuszczenie oparte na znajomości psychiki ludzkiej, że w rezultacie poczują się oni z dziełem C. O. P. jeszcze mocniej związani uczuciowo. Bo człowiek mocniej ceni to co go kosztuje. Pan Ksawery Prószyński kazał im zapłacić za radość tych przeżyć, jakich dostarczyło oglądanie wielkiego dzieła polskiej myśli i pracy, ciskając w nich zarzutem interesowności.

A swoją drogą z tego „niemiłego” incydentu można zdaje się zrobić jeden bardzo przyjemny wniosek: dla zaatakowania dzieła Centralnego Okręgu Przemysłowego autor nie znalazł oparcia w rzeczywistości.

Zygmunt Szempliński.

AUTO-RECENZJE

Turowski Grzegorz. *Warunki i drogi rozwoju gospodarczego wsi polskiej. Wyd. Spółdz. z o. o. „Gospodarka Narodowa”, Warszawa 1938 r., str. 133* [1]*).*

Praca pod powyższym tytułem nie ma charakteru polemicznego, wyrosła jednak na tle tak ostatnio ożywionej polemiki na temat polityki rolniczej, a w szczególności na temat struktury agrarnej. Przykro jest formułować sądy ryczałtowe, w danym wypadku jednak ma się chyba prawo stwierdzić, że lwia część wystąpień publicystycznych na powyższe tematy grzeszy ułamkowością ujęcia bądź w sensie ograniczenia się do jakiejś dowolnie wybranej grupy przesłanek, bądź w postaci ograniczenia się do niemniej dowolnie wybranej grupy wniosków. Jedną z rzeczy najbardziej drażniących dla piszącego te słowa jest w szczególności tak rozpowszechnione poszukiwanie „kluczowego problemu”, którego rozwiązanie ma rzekomo zapewnić powszechną szczęśliwość rolnictwu. Ponieważ wybór tego kluczowego problemu jest czymś zupełnie dowolnym, rezultatem takiej postawy jest przerzucanie przez poszczególnych autorów owego rzekomo kluczowego problemu jak piłki z jednej dziedziny do drugiej.

Przykładem takiej postawy jest równie dobrze mniemanie, że koncentracja wysiłków na rozbudowie przemysłu rozwiąże w pełni w krótkim czasie zagadnienie przeludnienia wsi i rynków zbytu dla produkcji wiejskiej, jak mniemanie, że zaniechanie protekcjonizmu celnego otworzy dla wywozu rolniczego możliwości wystarczające, aby zapewnić szybki postęp rolnictwa, jak wreszcie mniemanie, że intensyfikacja rolnictwa w wyniku postępu oświaty odbędzie się bez rozwiązania zagadnienia rynków zbytu lub, że sama parcelacja wyczerpać może zagadnienie przeludnienia wiejskiego. Cechą charakterystyczną polemik dotychczasowych jest przy tem to, iż ci którzy sami popełniają grzech jednostronności, z dużą słusznością zarzucają swym oponentom, że ich koncepcje są jednostronne.

Nie zamierzam tu analizować wszystkich przyczyn tego tak niekorzystnego stanu rzeczy, napewno jednak obok występującej w wielu wypadkach tendencyjności wchodzi tu w grę po prostu nieznajomość lub niedbalstwo w wykorzystywaniu istniejącego

---

[1]) W numerze niniejszym „Gospodarki Narodowej” rozpoczynamy nowy w naszym wydawnictwie dział „auto-recenzyj”. Zadaniem tego działu jest danie autorom publikacyj teoretycznych i polityczno - gospodarczych możności wyjaśnienia podstawowych założeń i intencyj publikowanych prac. Rzecz prosta dział auto-recenzyj rozpoczynamy od wydawnictwa naszej Spółdzielni.

materiału analitycznego, pozwalającego w wielu wypadkach określić skalę osiągnięć, możliwych przy danym kierunku działań.

Użyłem wyżej wyrażenia, iż broszura moja wyrosła z powyższej polemiki. Nie znaczy to, aby czytelnik znalazł w niej bezpośrednie ustosunkowanie się do tez w polemice wysuwanych — broszura nie ma charakteru polemicznego. Starałem się natomiast o coś innego, o wyodrębnienie z dyskusji tych zagadnień, które przy dzisiejszej znajomości polskiej rzeczywistości gospodarczej i społecznej można by uznać już za niesporne, można by z dyskusji wyłączyć.

Tych niespornych punktów w zakresie diagnozy, w zakresie oceny istniejącego stanu rzeczy i dzisiejszych tendencyj rozwojowych, jest już niemało. Co uważam za tego rodzaju punkty niesporne — czytelnik przekona się sięgając do omawianej broszury. W każdym razie sądzę, że dorobek polskiej myśli polityczno-gospodarczej jest już dziś na tyle znaczny, iż na uzgodnionej diagnozie można wybudować kilka podstawowych wytycznych programowych. Oczywiście wytyczne te nie stanowią jeszcze pełnego programu polityki rolniczej. Każdy program w pełnym znaczeniu tego słowa jest syntezą elementów, wynikających z obiektywnej analizy i z pewnej wizji pożądanej przyszłości, wizji z natury rzeczy subiektywnej, wizji w tworzeniu której uczestniczy nie tylko rozum, ale i wola. W ramach zadania, które sobie postawiłem, nie było miejsca na daleko idący subiektywizm [2]). Jeśli czytelnik znajdzie go niewątpliwie niekiedy w broszurze, to jest to wynikiem prostego faktu, iż z chwilą przejścia od analizy do tez polityczno-gospodarczych zapewne nigdy w pełni nie daje się uniknąć subiektywizmu. W zasadzie jednak zadanie, które sobie stawiałem, było czemś w rodzaju zadania kompilatora, który na podstawie z jednej strony klasyków, z drugiej zaś nowych prac naukowych pragnie stworzyć podręcznik, uwzględniający aktualne zdobycze wiedzy, lecz nie angażujący się w kierunku doktryn, będących jeszcze przedmiotem sporu fachowców. Sądzę też, że specjalista od zagadnień polityki rolnej poza konstrukcją pracy niewiele znajdzie nowego w mojej publikacji. Natomiast byłoby dla mnie dużym zawodem, gdyby się miało okazać, iż praca moja niedostatecznie uwypukliła podstawową tezę, którą jest twierdzenie, iż problemy traktowane najczęściej odrębnie, problemy takie jak zagadnienie oświaty, rynków, struktury agrarnej, uprzemysłowienia, stanowią organiczną całość i że skutkiem tego podstawową wytyczną polityki gospodarczej jest działanie równoczesne na szerokim froncie, nie zaś skupienie się na rzekomym kluczowym odcinku.

Tyle co do meritum. Co do konstrukcji, to licząc się z niedość rozpowszechnioną znajomością podstawowych nawet zagadnień rolniczych, nie mogłem się ograniczyć do zaprezentowania wyników analizy i wyciągnięcia stąd wniosków. Dlatego też chociaż w założeniu celem mojej pracy było podsumowanie wykrystalizowanych dotychczas podstawowych wytycznych polskiej polityki gospodarczej na odcinku rolnictwa, musiałem wielokrotnie, acz nierównomiernie, sięgać do „materiału dowodowego" — informacyjnego.

Grzegorz Turowski

[2]) „Polityka" zamieściła obszerną recenzję z mojej pracy. W recenzji tej organ młodych konserwatystów w stosunku do większości tez mojej pracy przyłącza się do poglądu, iż są to rzeczy niesporne. Takie stwierdzenie z tej strony i w tej formie ma oczywiście swą szczególniejszą wymowę, tem cenniejszą, że nie tak dawno jeden ze stałych współpracowników „Polityki" dopatrywał się w reformie rolnej bolszewizmu. Równocześnie jednak „Polityka" przeciwstawia umiar omawianej broszury artykułom, które ukazywały się w „Gospodarce Narodowej" za podpisem Czesław Bobrowski, Tomasz Kornicz, T. K. Stwierdzić muszę, że tej rozbieżności, o której mówi „Polityka", ja nie widzę. Co najwyżej dostrzegam pewne różnice, pochodzące z wyżej omawianego założenia autorskiego, polegającego na skoncentrowaniu się na zagadnieniach bezspornych, podczas gdy celem i sensem typowej publicystyki jest omawianie właśnie tego, co nie zostało ustalone w sposób niesporny, co jest i powinno być przedmiotem dyskusji.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.